

Onychir_Kmiecik_Krystyna_AW_I_0350

[00:00:00] Onychir_Kmiecik_Krystyna_AW_I_0350_1A

Krystyna Onychir-Kmiecik: 17 września, to ojciec nas wywiózł... Znaczy, no byłam naprzód, jako harcerka, byłam włączona w przygotowania szpitala w naszym gimnazjum, bo byłam wtedy w 2, po 2 klasie gimnazjalnej. I później, jak wkroczyli, przed wkroczeniem Rosjan, ojciec wywiózł nas na wieś poza Zbaraż, na Krasnosielec do ciotki, także ojciec został sam w domu. No w domu mieliśmy kilkakrotnie tam rewizję, jakoś ojcu się udało, że nic mu się tam w tym okresie nie stało. Później, po wkroczeniu zaraz Rosjan, to w tym okresie byłam tam w tych Krasnosielcach, no i widziałam, jak wjeżdżały te czołgi z Rosjanami. Ale zaraz mama wzięła znowu furmankę i furmanką do Tarnopola dotarliśmy do ojca, bo myśmy się denerwowali, co z ojcem jest. No i ojciec żył, jeszcze nie był w tym okresie aresztowany i zaraz nas, jakieś parę dni po tym, przeprowadził na ulicę Pieszą, to była druga strona Tarnopola, do swojej siostry i tam mieszkaliśmy już przez cały okres okupacji rosyjskiej. W tym okresie ojca złapali, znaczy kazali się ojcu zgłosić do NKWD, bo ojciec był księgowym w województwie i w tym okresie, i przed wojną jakieś 2, czy 3 lata został oddelegowany z województwa do takiego przedsiębiorstwa Podole, które budowało tamy na Podolu z myślą o tym, że jeżeli Rosjanie będą wkraczać, to te wody będzie można rozlać i będzie jakieś zabezpieczenie, no przynajmniej trochę jakaś przeszkoda. Rosjanie dowiedzieli się o tym, bo aresztowali ojca kierownika, ten się zgodził na współpracę z Rosjanami, no i podał ojca nazwisko, że ojciec prowadził jemu księgowość. No ojca tam trzymali chyba jakieś ze 24 godziny na przesłuchaniu, bili go tam i zmusili do tego, że podpisał, że będzie z nimi współpracował. Wypuścili go, on przyszedł do domu, spakował się i uciekł. Uciekł, ale złapali go później na granicy, jak usiłował przekroczyć granicę do Rumunii i wywieźli go wtedy już do Lwowa. We Lwowie siedział w Brygidkach i któreś... Tam myśmy się nie pokazywali do Brygidek, żeby nie nawiązywać kontaktu, natomiast tam do ojca zgłaszała się moja ciotka, która we Lwowie... Później z tych Brygidek, w lutym w 41 roku, został wywieziony do Rosji i przeszedł przez Starobielsk, i został wysłany na Kołymy. Wiem tylko tyle, że w momencie, jak lądował na Kołymie, znaczy ze statku go wyładowywali, to wtedy usłyszał przez radio, że Sikorski podpisał umowę, że Polacy mają być zwolnieni, ale to nie szkodziło, że jeszcze parę miesięcy tam pracował

[1A, 00:05:00]

na tej Kołymie, woził taczkami urobek z kopalni gdzieś tam, do jakichś tych płukarek. Opowiadał mi później, że przez pół roku po zwolnieniu go, to jeszcze mu się śniły stale te taczki i to, że on musi te taczki, jak najsilniej trzymać w rękach, żeby nie wypuścić, żeby

normy wyrobić. Został jednak wypuszczony stamtąd i dostał się do armii Andersa. Do armii Andersa miał trochę trudności w dostaniu się, parę dni się włóczył dookoła obozu, ale wreszcie spotkał jakiegoś tam znajomego, bo ojciec był oficerem rezerwy, ale spotkał jakiegoś, który już był w wojsku i poświadczył, że ojciec jest tym porucznikiem rezerwy. I wtedy z wojskiem Andersa wyjechał na Wschód i do Anglii. W Anglii pracował, jako instruktor, uczył kierowców na ciężarówkach jeździć, czy coś tam takiego, to tylko tyle wiem. No i w Anglii siedział aż do jakiegoś, nie wiem, którego...

Rozmówca: A co pani, a co z panią się wtedy działo?

KOK: W tym okresie ja naprzód chodziłam do szkoły rosyjskiej, bo była 10-latka rosyjska i wszystkie dzieci musiały się zarejestrować, musiały być, do tego stopnia, że jak mego kolegę na przykład wyrzucili z tej szkoły za to, że tam zadarł z profesorką Rosjanką, to za tydzień przyszl i prosili, żeby wrócił, bo u nich było tak, że każdy musi być w tej szkole. Więc chodziłam do tej 10-latki, do klasy 7 i 8. W tym okresie moi koledzy z 9, 10 klasy byli aresztowani do tego stopnia, że na przykład w 9 klasie zostało 5 chłopaków, reszta wszystko znikło ze świata. Mój, w tym okresie moja sympatia, mój chłopak został zmuszony do tego, że miał donosić na swoich kolegów do NKWD i miał się, co miesiąc do nich zgłaszać. Wiem, że załatwił to w ten sposób, że właśnie zgłosił się do pani Łomnickiej, ona była opiekunką jego klasy i ona mu zawsze radziła, co ma powiedzieć i jak ma wykręcać się z tej sprawy. Ale już w czerwcu 41 roku powiedział do mnie, że jeżeli jeszcze raz będzie musiał tam pójść, to już chyba się nie wykręci i niewiadomo, co z nim będzie. No, ale już w czerwcu właśnie wkroczyli Niemcy i to...

R: Uratowało go.

KOK: Uratowało go, tak. No nie na długo, bo później znowu zginął, jak Rosjanie wkraczali drugi raz. Ja w 41 roku zaraz, zostały, znaczy szkoła skończyła się ta rosyjska, a podczas tej niemieckiej szkoły, okresu niemieckiego, została zorganizowana u nas nauka tajnego nauczania, no i ja między innymi też tam uczęszczałam, miałam w dalszym ciągu kontakt z tymi swoimi nauczycielkami.

R: A pamięta pani, gdzie odbywały się zajęcia i kto prowadził zajęcia, kto kierował tym tajnym nauczaniem wtedy?

KOK: No wszyscy ci nauczyciele z gimnazjum. No musiałabym, nie pamiętam ich nazwisk, ale to jest do znalezienia.

R: I nauka się odbywała, pani pamięta punkty, w których się odbywała?

KOK: Punkty, no niektóre lekcje odbywały się u mnie, w moim mieszkaniu, bo myśmy wrócili z powrotem

[1A, 00:10:00]

na Baworowskiego, tam gdzie przedtem chcieli nas wywozić, ale nas w tym okresie nie było, a później myśmy, zaraz jak tylko wkroczyli Niemce, tośmy zaraz wyprowadzili się z powrotem na swoje mieszkanie. Więc tam przy Baworowskiego były, były u pani Wajdowej, profesorki Wajdowej, ona prowadziła lekcje matematyki i fizyki, i gdzieś przy Mickiewicza w jakimś jednym mieszkaniu, ale czyje to mieszkanie było, teraz to nie powiem. To te 3 punkty były takie dla naszej grupy, ale to były grupy po 5 osób wszystkiego, tak żeby nie za dużo przychodziło. No i jakoś w lipcu właśnie, zaraz po zorganizowaniu tego, zgłosiła się do mnie pani Łomnicka.

R: To było w lipcu 41, czy 2?

KOK: 42 roku zgłosiła się, żebym ja, czy ja się zgodzę zostać kurierką. Naturalnie to nie było w ogóle nawet do pomyślenia, żeby ktoś z nas odmówił. No i pracowałam, zostałam zaprzysiężona i naprzód przynosili stale pocztę do mnie, któraś z dziewcząt, czy w tym okresie, kiedy ja byłam w pracy, bo przecież pracowałam, czy... No do mojej matki zostawiali, bo u mojej matki został założony punkt kontaktowy, mama przyjmowała tę pocztę. Później z kolei zgłosił się już pan Żeglin i pan Żeglin urządził u nas dla siebie punkt kontaktowy, taki że zgłaszali się do nas, przychodzili, on przychodził, przychodzili jego tam podwładni, jego oficerowie, przychodziła maszynistka, właśnie ta pani, która została później tutaj zamordowana, ma pan napisane. No i pisali te gazetki u nas, meldunki, no cały kolportaż prasy, to u nas się odbywał. Zrobili sobie jakąś tam skrytkę w podłodze, deskę oderwali i tam pod spodem chowali maszynę. Któregoś dnia nawet, ja przyszłam z pracy i tak wyszłam sobie na ganek i nagle patrzę, a zza węgła domu włączają Niemcy z Orzkomendantury, a w domu siedzą, pan Żeglin i jeszcze coś tam, 3, czy 4 panów, więc zdębiałam, nie miałam, co robić, stoję, oni każą się prowadzić do mego mieszkania, bo oni przyszli rekwirować te mieszkania dla wojska. Wprowadziłam ich do kuchni, a z kuchni było wejście do pokoju. Przy kuchni stała moja mama, no i ona umiała trochę po niemiecku mówić, więc zaraz zaczęła z nimi rozmawiać, oni chcieli wejść od pokoju, ona zastawiła drzwi i powiedziała: *teraz tam nie wolno*. Więc bardzo grzeczni byli jednak, myśleli może, że tam jakaś kobieta się ubiera, albo co. Dosyć, że nie weszli do pokoju, ale w tym okresie zaczęliśmy z nimi rozmawiać, o co im chodzi, oni powiedzieli, że oni są z Orzkomendantury i chcą zająć tu mieszkania. Więc ponieważ żona właśnie tego pana Szlagora, sąsiada naszego była dolmestcherką w Orzkomendanturze, powiedzieliśmy im, że pani Szlagorowa ma zapewnione, że nikt tego mieszkania tutaj nie będzie zajmował. Więc oni zażyczyli sobie z nią rozmawiać, poszli do niej i ona już ich zagadała, i wyprowadziła. W tym okresie już pan tutaj Żeglin ze swoimi

kolegami rozłożyli karty, pochowali wszystko i niby, że w brydża grają. No, ale gdyby weszli, to nie wiem, jakby to wyglądała ta sprawa, bo...

R: A pamięta pani, kto przychodził do Żeglina wtedy?

KOK: Do Żeglina, zaraz, pan,

[1A, 00:15:00]

jednego tylko dokładnie pamiętałam, ale nazwisko mi się teraz wypsnęło, pan jego nazwiska tutaj nie ma. Zaraz, ja męża zapytam.

R: Zygfryd Szynalski, tak?

KOK: Tak. On przychodził do nas, no przychodzili jeszcze jacyś, których nazwiska nie znałam. Tak, ale ten Zygfryd Szynalski przychodził jeszcze tu do Tarnopola i on był w tym okresie w bliskim kontakcie z Żeglinem, to już pan Żeglin panu powie, co on tam miał, jaką funkcję u niego. No ja w tym okresie byłam cały czas kurierką tylko na okręg tarnopolski.

R: Pamięta pani punkty kontaktowe, w których pani kursowała?

KOK: W tej chwili już panu nie powiem. Wiem, że na Zarudzie chodziłam, że gdzieś tam pod cmentarz chodziłam, że na Zagrobel chodziłam, ale nie ma już tej takiej pamięci, żeby pamiętać adresy, czy coś, nazwiska. Zresztą w tym okresie, tak prawdę powiedziawszy, to nie za bardzo nawet znałam nazwiska tych ludzi, wiedziałam, że pod ten numer mam się zgłosić. I pierwszy raz poszłam, podałam hasło, później już te osoby mnie znały, przychodziłam, podawałam.

R: I co pani głównie nosiła, prasę, meldunki?

KOK: Prasę i meldunki od pana Żeglina.

R: Od Żeglina, tak?

KOK: Od Żeglina. To nieraz było dosyć dużo takiego do doręczenia, bo on po prostu widocznie miał tam znowu ten punkt kontaktowy, skąd zabierały inne kurierki i roznosiły dalej.

R: Pani cały czas w czasie okupacji podlegała bezpośrednio Żeglinowi?

KOK: Cały czas bezpośrednio Żeglinowi. Raz tylko mnie się zdarzyło, że on mnie wysłał do Trembowli, bo wtedy akurat chyba Kama zachorowała, ona była tą kurierką na powiat, no i wysłał mnie wtedy do Trembowli. I znowu chyba przez to znowu miałam szczęście, bo się spóźniłam do pracy. W tym okresie pracowałam w kółku rolniczym, w biurze, ale wrócić nie mogłam na czas, bo akurat była jakaś katastrofa kolejowa i ja wracałam rowerem, który mi pożyczył mój kuzyn, był wtedy leśniczym i on mi ten rower pożyczył, ja tym rowerem z Trembowli wracałam do Tarnopola. Spóźniłam się do pracy i przez to wyrzucili mnie z biura, tam gdzie pracowałam w kółko, wyrzucili mnie do pracy, do sklepu chlebowego. A tam, do

tego biura, jakoś 2, czy 3 dni po tym, wkroczyli Niemcy i poaresztowali całą obsadę, no a mnie wtedy tam nie było.

R: A pamięta pani ludzi, którzy w tym czasie zaangażowani byli w konspirację z Tarnopola? Pani matka również była zaprzysiężona?

KOK: Moja matka była zaprzysiężona.

R: A jaki pseudonim pani matka nosiła, pamięta pani?

KOK: Mogłabym panu wymyśleć, ale nie wiem, nie pamiętam.

R: Czyli pani miała kontakt głównie w tym czasie z Żeglinem?

KOK: Z Żeglinem, z panią Olgą, która była moją bezpośrednią...

R: Przełożoną.

KOK: ...przełożoną, tak. No później co, z Kamą Zarychtą parę razy się zetknęłam, z Giga Gawrońską - Wanda Gawrońska, ona w tej chwili nazywa się Lewicka. No chyba to wszystko, co ja...

R: Więcej łączniczek pani nie pamięta już?

KOK: Nie. To wie pan, no zwykle podrzucała pocztę do nas pani Olga, a już ja roznosiłam na te punkty, gdzie były, no to nieraz, to nie był 1 liścik, to był pakiecik różnych tej korespondencji różnej. A co tam znowu dalej się działo, ja już nie wiem, zresztą wolałam nie wiedzieć, bo nie byłam znowu siebie taka pewna, że jak mnie złapią, to ja wytrzymam.

R: I tak trwało przez cały okres okupacji?

KOK: Tak, przez cały okres okupacji. Później, w 44 roku wkroczyli do nas Rosjanie, z tymże wtedy walki w Tarnopolu trwały 6 tygodni. Myśmy siedzieli,

[1A, 00:20:00]

byli wykwaterowani ze swego domu, bo jednak wtedy ta Orzkomendantura nas wyrzuciła z tego mieszkania. Mieszkaliśmy w innym mieszkaniu i tam, ponieważ to był taki budynek jakiś, no nie było piwnicy, piwnica to była taki parter, więc nie było bezpiecznie siedzieć w tym budynku. Wszyscy się okoliczni mieszkańcy przenieśli do sąsiedniej kamienicy i w tej kamienicy, w piwnicy siedziało nas 30 osób. Pamiętam, że któregoś dnia tam Niemcy podrzucili nawet jakąś Żydówkę do nas, którą znaleźli w jakiejś innej piwnicy ukrywającą się, ale to byli frontowi żołnierze, może nawet nie zwrócili uwagę na to, że to Żydówka. Także jej nic nie zrobili, tylko powiedzieli jej, kazali nam przyjąć ją do swego grona. No i oni siedzieli na górze, a my na dole. Bolszewicy, Rosjanie któregoś dnia wpadli i powiedzieli: *ludy, spasajtes, my minu podkladajem*. Dobrze mówić, gdzie się ratować, jak właściwie nie ma gdzie, dookoła strzelają i nie ma, gdzie iść, więc myśmy zostali w tej piwnicy. Oni popodwieszali takie jakieś baniaczki, no i w pewnym momencie to wybuchło i część piwnicy

nam się zawaliła, i zginęło wtedy 2 ludzi. Mój narzeczony zginął jeszcze przed tym, ten mój chłopak, przez to, że Rosjanie strzelali do drzwi, nie patrząc na to, czy są tam jacyś ludzie, czy nie, oni strzelali po prostu i kulka trafiła go w serce. A zginęła od tego wybuchu ta Żydówka właśnie. I wtedy z tej piwnicy wywaliło nam kraty okienne, no i myśmy zaczęli wszyscy uciekać, bo ta piwnica zaczęła płonąć po tym wybuchu, zaczęliśmy wszyscy uciekać przez to okienko. Musieliśmy przebiec przez taki plac, chyba ze 30 metrów, do tego naszego domu, gdzie myśmy przedtem mieszkali, ale ten dom już był spalony kompletnie. I w tym okresie znowu zginął jeden Ukrainiec, trafiony jakąś tam kulą. A nas wszystkich zagarnęli Rosjanie, oddzielili osobno mężczyzn, osobno kobiety z dziećmi, przetrzymali nas jakiś czas, sprawdzili, czy my rzeczywiście z tej piwnicy wyszliśmy. Dosyć, że wypuścili wreszcie i myśmy ze 3 dni siedziały na przedmieściach, a za tym domem, gdzie nas przyjęli, stała artyleria rosyjska, która ostrzeliwała Śródmieście Tarnopola. No ponieważ to nie było zbyt przyjemne, to siedzenie pod ostrzałem, tośmy się któregoś dnia zebrali i poszli do ciotki, do Krasnosielec, tam za Zbaraż. Szliśmy piechotą, byliśmy spaleni, więc niczego nie było. Ja wyszłam w pantoflach na niskim obcasie, moja mama na wysokim obcasie, więc po kilku kilometrach nie mogła iść dalej, tośmy się zamieniły, wreszcie ja zdjęłam i na bosaka, w kwietniu, gdzie przy drodze stał śnieg szłam piechotą, aż do tych Krasnosielec. No w Krasnosielcach też nie było zbyt bezpiecznie, bo tam znowu działali ubowcy...

R: Banderowcy?

KOK: Banderowcy. Także, jak tylko oswobodzili Tarnopol, to myśmy zaraz wrócili z powrotem do Tarnopola. No i stamtąd zabrali mnie do wojska. Naprzód zabrali mego brata, kolegów pozabierali, a później mnie zabrali. No i w Żytomierzu wszyscy spotkaliśmy się w tym wojsku. Ponieważ dowiedziałam się, że brat jest w łączności, to i ja się postarałam do tej łączności.

[1A, 00:25:00]

R: A przepraszam, brat był w Armii Krajowej, czy też nie?

KOK: Brat nie, brat był za smarkaty na to, był młodszy ode mnie, no i on nie był w Armii Krajowej. Natomiast przeszedł później przez cały front, jako łącznościowiec. Natomiast wiem, że na przykład Stanisław Stec, mój kolega, ten właśnie kolega, który zginął – Węgrzyn Roman, to byli w podchorążówce, którą organizowała AK. No ale w tym okresie tośmy o tym nie rozmawiali, tylko później się dowiedziałam, że oni tam byli, to się udało, że się nic nie wie. Do tego stopnia się udawało, że na przykład 4-letnie dziecko mego tego sąsiada, Szlagora, dopiero po wojnie powiedziało do swojej matki, mówi: *a ja wiem, że u pani Onychir była broń, ale ja nigdy nikomu nie powiedziałam.*

R: A rzeczywiście była broń?

KOK: Była, bo nieraz przynosili i później trzeba było oddać tam, gdzie trzeba. No i co jeszcze? No byłam zabrana do tej łączności, stamtąd wywieźli nas, któregoś razu, przez granicę do Lublina. W Lublinie Polacy okropnie się do nas odnosili, traktowali nas, jak Polki rosyjskiego pochodzenia. Mieszkałyśmy tam wtedy w Majdanku. Stamtąd zostałam skierowana, w wojsku zostałam skierowana do Tomaszowa Lubelskiego. I w Tomaszowie Lubelskim wysiadłam już z nerwami, bo tam rzeczywiście przydzielili nas i to chyba 2, czy 3, 2 chyba tylko dziewczynki Polki, z tych wschodnich terenów, przydzielili do rosyjskiego oddziału, to znaczy to się nazywało, że to jest polskie wojsko, ale to były Rosjanki w polskich mundurach, może one były pochodzenia polskiego. Dosyć, że myśmy miały tego dość i właśnie z koleżanką zdecydowałyśmy któregoś dnia, że jedziemy do domu. Poszłyśmy do chłopów...

R: A pamięta pani nazwisko tej koleżanki?

KOK: Pamiętam, ale czy muszę, może ona się nie chce do tego przyznać, czy ja wiem. Hanka Niesiołowska nazywała się, Hanna Niesiołowska. I proszę pana, poszłyśmy do jakiegoś chłopca, powiedziałyśmy, że chcemy uciekać i prosimy, żeby nam dał się w co przebrać. Dałyśmy mu za to, to umundurowanie, które myśmy miały, on nam dał cywilne łachy. Miałyśmy szczęście, że nam nie odebrali paszportów, tych wydanych przez Rosjan w 41 roku. Myśmy poszły przez granicę, pokazali nam którędy mamy iść i poszłyśmy. No w pewnym momencie złapała nas straż rosyjska, wsadzili nas do więzienia, ale do takiego więzienia straży granicznej i tam nas przesłuchiwali, a w międzyczasie kazali nam pracować w kuchni. No i właśnie, jak mówię, było dużo szczęścia w nieszczęściu, bo któregoś dnia wzięli mnie na przesłuchanie, myśmy twierdziły, że uciekamy z Pragi, z Warszawy, aleśmy Pragę nie znały zupełnie i w pewnym momencie ten, bo w tym okresie akurat zajęli Rosjanie Pragę, ten oficer śledczy wyszedł, a ja zobaczyłam mapę, plan Warszawy na ścianie. Podeszłam do tego planu i tam jakąś ulicę przeczytałam na Pradze, więc on mnie później się zapytał, przy jakiej ulicy, to już wiedziałam przy jakiej, numer wymyśliłam. I wychodząc z tego przesłuchania spotkałam Hanke, powiedziałam jej, co powiedziałam, no i on ją znowu przesłuchiwał, to samo

[1A, 00:30:00]

ona powiedziała. Skutek był taki, że załadowali nas któregoś dnia wieczorem do takiego towarowego pociągu i odesłali do Lwowa z przykazaniem, żebyśmy się zgłosiły w Tarnopolu na NKWD, paszporty zabrali. No myśmy wysiadły we Lwowie i nie miały zamiaru jechać dalej do Tarnopola. Ona miała krewnych we Lwowie, ja miałam krewnych we Lwowie.

Przyszłam, pamiętam siostra wychodziła do pracy, zobaczyła mnie i od razu – *nawiałaś?* – *Nawiałam.* – *Dobrze zrobiłaś, no dobrze zrobiłaś.* Jakiś czas było dobrze, ale jak przyszła rejestracja do wyjazdu na Zachód, cała rodzina się porejestrowała, a ja się nie mogłam zarejestrować, bo nie miałam żadnych dokumentów, meldowana nie byłam. Jak przychodzili z tak zwanymi *perewierkami*, które się bardzo często odbywały w domach, w ciągu nocy, to uciekałam w pokrzywy do ogrodu, czy względnie na cmentarz Obrońców Lwowa, bo to tam mieszkalam, pod tym cmentarzem.

[00:00:00] Onychir_Kmiecik_Krystyna_AW_I_0350_1B

KOK: W tym mieszkaniu, gdzie ja mieszkalam, mieszkał przez jakiś czas pułkownik Studziński, u mojej ciotki tam mieszkał i stamtąd został aresztowany i wywieziony do Rosji.

R: A pamięta pani ulicę, na której mieszkał wtedy?

KOK: Kopcia.

R: Na ulicy Kopcia, tak?

KOK: Kopcia, tak. Po prostu zgarnęli ich, powiedzieli im, że na jakiś tam spotkanie mają się zgłosić, oni się zgłosili i już nie wrócili. Natomiast później pan Studziński, pan pułkownik Studziński, po 10 chyba latach do Bytomia, do mojej ciotki właśnie przyjechał i tam mieszkał przez jakiś czas, aż do swojej śmierci, to tam w Bytomiu u tej ciotki, Mazacz Maria, u niej mieszkał. Ale 10 lat odbył swoje w Rosji. Więc tu zajął się mąż załatwieniem tej sprawy mego wyjazdu. Nie wiedzieliśmy, jak to zrobić, chodził, chodził do tego Komitetu i tylko szukał okazji, żeby nas zarejestrować, ale w Komitecie stale twierdzili, że to się panu nie uda. Ale któregoś dnia mu poradzili, żeby poszedł na NKWD, zgłosił, że ja przyjechałam ze wsi, żeby oni wystawili zaświadczenie, że ja się zgłosiłam na NKWD. Więc mąż poszedł, zgłosił, że do niego przyjechałam ja z moją matką, bo matka też przyjechała ze wsi, nie miała dokumentów, bo na wsi nie było rejestracji, więc poszedł o 11 w nocy, poszedł i zgłosił, że właśnie przyjechała kuzynka ze wsi i on zgłasza, żeby nie było jakichś kłopotów. To ten strażnik, bo wtedy urzędników tam nie było żadnych, tylko strażnik wydał zaświadczenie, takie o, karteczkę, że taki i taki zgłosił, że taka i taka przyjechała ze wsi. I na tej podstawie, naturalnie on twierdził, że my się mamy zgłosić jeszcze w dzień, ale na tej podstawie już nas tam zarejestrowali do wyjazdu, z tymże ten wyjazd miał się odbyć grubo później, aniżeli wyjeżdżała moja cała rodzina i zostałabym na lodzie. Więc znowu, co robić? Mąż dalej chodził do tej, znaczy narzeczony w tym okresie, chodził dalej do tego Komitetu – *no panie, już tym razem, to się panu nic nie uda załatwić.* Ale w tym czasie brać przysłał zaświadczenie z wojska, że wojsko, że jego jednostka prosi o zaopiekowanie się matką i siostrą we Lwowie. Więc mąż tam któregoś dnia, jak był, dowiedział się, że jedzie transport rodzin wojskowych i

to zaraz wyjeżdża, jakoś za 2, czy 3 dni, więc on mówi: *to ja jestem rodzina wojskowa*. – *Panie, jaka rodzina wojskowa, co pan mi tu plecie?* Ale pokazał zaświadczenie i na podstawie tego zaświadczenia wyjechałam ja z mamą, mąż wziął jeszcze matkę swego kolegi, który był w niemieckim lagrze, znaczy w obozie niemieckim i jeszcze swego kolegę z żoną i z synem, więc cała masa osób wyjechała na to zaświadczenie mego brata. Okazało się później, że ten transport wojskowy, to był transport złożony z samych Żydów, tam Polaków prawie, że nie było, tylko byli Żydzi, którzy chcieli wyjechać z Rosji. I ci Żydzi, jak gdzieś nas zatrzymywali na jakiejś stacji, to oni zaraz lecieli i płacili, i myśmy zaraz dalej jechali, także niespotykane, w ciągu 24 godzin wyjechaliśmy ze Lwowa do Bytomia.

[1B, 00:05:00]

R: I to było w którym roku, 45, tak?

KOK: 45, tak, bo to już po skończeniu wojny, w 45, w listopadzie znalazłam się w Bytomiu. I tam już dalej nie mogliśmy jechać, bo już zabrakło wody w parowozie, węgla i powiedzieli, że już dalej nie jadą, wysadzili nas. Poszłam do swojej koleżanki, której adres miałam, w Bytomiu, ona nas tam przetrzymała przez parę dni. A później mąż się zapisał do chóru polskiego, który był już w tym okresie zorganizowany, no i jak 40 chłopów zaczęło szukać mieszkania, tak zaraz nam znaleźli mieszkanie w Zabrze. W Zabrzu wzięliśmy ślub.

R: Ale co wtedy z konspiracją?

KOK: Jeszcze nie, to w Zabrzu nie, dopiero wyjechaliśmy później, bo mąż spotkał kolegę, który organizował w ogóle od nowa fabrykę w Brzegu nad Odrą i zatrudnił jego tam, też do tej pracy. Więc pojechaliśmy do tego Brzegu nad Odrą i tam właśnie zgłosił się do nas pan Szynalski.

R: Pan Szynalski (niezrozumiale), tak?

KOK: Tak. I myśmy z nim... Naturalnie, jak się zgłosił, to my się zaraz zdecydowali na współpracę, no bo przecież nigdy nie myślałam o tym, że chcę, żeby była Rosja w Polsce, no ale to już było niedużo.

R: Właśnie, jak wtedy wyglądała konspiracja? Mogłaby... Coś właśnie o tej konspiracji?

KOK: Proszę pana, wtedy to było bida z nędzą, według mnie. No jeździłam kilka razy do Zabrze, do Szynalskiego po pocztę. Otworzona została komórka w Brzegu, no może mąż coś panu tam...

R: A kto kierował tą komórką?

KOK: Właśnie mąż kierował tą komórką w Brzegu, no ale to niedługo trwało, bo w 46, 17 września nas aresztowali. Przyszli po mnie i męża z całą czeredą wojska, no to ich było

nieskończona ilość, no i zaraz rewizję zaczęli urządzać. Pamiętam, że mój wujek wtedy mieszkał z nami, ten ze Lwowa właśnie, ten, u którego ja przedtem mieszkałam, on później u nas mieszkał, stary człowiek, wyszedł do ustępu, siedł w tej bieliźnie nocnej, a tu oni wszyscy z karabinami, z pepeszami, on się tak patrzy, mówi: *więcej was nie było?* No w pewnym momencie oni znaleźli pozostałości papieru palony w piecu centralnego ogrzewania. Po prostu myśm próbowali, czy piec ten będzie działał, a oni osądzili, że już nie ma, co szukać, bo tu już wszystko spalone. A na to, ja mówię: *gdzie logika, jak ja bym tu cokolwiek paliła, to ja bym to wygarnęła, po prostu paliłam, żeby wiedzieć, jak piec działa.* A on mi na to mówi, ten oficer ich dowodzący nimi mówi: *wot logika, logika?* A moja mama: *Kryśka, to Rosjanin!* A ja mówię: *a jak ty myślisz, kto?* I rzeczywiście później, jak mnie aresztowali, to przesłuchiwali przeważnie Polacy z Rosji, którzy bardzo słabo mówili po polsku. W pewnym momencie przesłuchiwał mnie, przesłuchiwało mnie 5, klęło, ile wlażło po rosyjsku. A między innymi jeden Żyd, który tam siedział, mówi do mnie: *może pani nie rozumie? Może pani przetłumaczyć?*

[1B, 00:10:00]

– *Może się pan nie wysilać.* Wysłałam, widocznie byłam, pięknie wyglądałam, bo ten żołnierz, który mnie przyprowadził, to mówi: *niech pani chwilę odpocznie, ja później panią wezmę dalej.* Wywieźli nas po 2 tygodniach na UB, tutaj na Podwalu, tak, tam jest taki kwadrat, czworobok i tam nas trzymali przez 3 miesiące śledztwa. Tam właśnie zetknęłam się z panią Olgą, którą któregoś dnia przyprowadzili do naszej celi, no i siedziałam z Leną.

R: Żmudową?

KOK: Żmudową, tak. Mąż siedział natomiast gdzieś tam na 3, ja na 1 piętrze, mąż na 3 piętrze. Pilnowali nas Polacy z Francji, którzy w ogóle byli naprzód do nas strasznie źle nastawieni, ale jak zaczęłyśmy, bo uważali, że akowcy, to bandyci, ale jak zaczęliśmy ich objaśniać, co to w ogóle było AK, to oni później chodzili po korytarzach tam i śpiewali akowskie piosenki. Zmieniła się zupełnie sytuacja, potrafili mnie w nocy, o 1 budzić, wypuścić z celi i pozwolić pójść do męża, pod męża celę i mogłam z nim porozmawiać, i uzgodnić zeznania. No później przewieźli nas, po skończeniu śledztwa przewieźli nas na Kleczkowską, stamtąd na rozprawę.

R: Właśnie, kto brał udział, kto był sądzony? Pani, pani mąż?

KOK: Starościn, Boże, Genowefa, ona była nawet dwukrotnie aresztowana i doprowadzona do takiego stanu, że dostała schizofrenii, no i w rezultacie się nie wyleczyła i jako schizofreniczka umarła.

R: Czyli wynika z tego, że było 6 osób sądzonych?

KOK: Tak. Z tymże, właściwie to nas zasypał ten Mnych.

R: Mymych, tak?

KOK: Mnych. Ale może ja się jemu nie dziwię, jego tak strasznie tłukli w sąsiedniej celi w Brzegu, że wie pan, że ja nie wiem, że ten człowiek to wytrzymał, w ogóle, że żył. W każdym razie któregoś razu właśnie przyprowadzili mi go na przesłuchanie, no i on mi wszystko w oczy powiedział, że to ja to i to, i to, i tamto. Także nie miałam możliwości, wtedy tylko trzeba było robić tak, żeby jak najmniej im powiedzieć, to właśnie tego... Ale jego strasznie bili, strasznie.

R: On przesiedział, tu wynika z tego aktu oskarżenia, Oświęcim-Mauthausen przetrzymał.

KOK: No tak, wie pan, w Mauthausen, to nie musieli się tam nad nim specjalnie znęcać, a tu już tak się znęcali. Zresztą męża też trzymali w celi zalanej wodą i gołego.

R: A właśnie, jak do pani, czy wobec pani stosowano jakieś tortury w czasie śledztwa, czy też nie?

KOK: Nie, nie, to już nie mogę powiedzieć, cały czas było zupełnie możliwe, krzyki, wrzaski, awantury, ale nikt mnie nie bił, to nie. Widocznie trafiłam na jakiegoś możliwego śledczego. Natomiast koleżanka, która ze mną siedziała, nie pamiętam jej nazwiska, to słyszałam właśnie, że ona miała jakieś tam zatargi z tym swoim śledczym, to w pewnym momencie, jak się zdenerwowała, złapała kałamarz, to z kolei śledczego walnęła tym kałamarzem w twarz, także on później miał poranienia i jeszcze zalane atramentem, to już mu zostało. Ale tak jakoś...

R: I sama rozprawa, ile trwała mniej więcej?

KOK: No prawie cały dzień.

R: Cały dzień, tak?

KOK: No.

R: I co po rozprawie? Pani dostała wyrok wtedy...

KOK: Ja dostałam 3 lata, mąż dostał 7 lat. Amnestia zwolniła mnie zupełnie, męża zatrzymali

[1B, 00:15:00]

na 3 i pół roku. No i wie pan, że... Mówię zawsze, że człowiek trochę szczęścia ma w życiu, bo przetrzymali go na Kleczkowskiej przez całe 3 i pół roku, w związku z tym, że on pracował, zaczął pracować w księgowości, że się podał za księgowego, zresztą był jakimś tam trochę księgowym, podał się za księgowego, no i tam w tej księgowości ten księgowy stale go wyreklamowywał. 3 razy był już w transporcie do Wronek i zawracali go z powrotem, bo ten

księgowy twierdził, że go potrzebuje. No i okazuje się, ja dopiero teraz czytałam kiedyś tu o Wronkach, jakie straszne tortury, pomimo zakończonych śledztw, przechodzili jeszcze ludzie...

R: ... z więzienia wtedy?

KOK: Proszę pana, przyjechałam do Brzegu, no bo w Brzegu jeszcze mieszkała matka i brat z wojska został zwolniony, więc wrócił do Brzegu do mamy. Pracowałam naprzód w Związkach Zawodowych, bo nigdzie mnie nie chcieli przyjąć, ale jakoś te Związki Zawodowe mnie przyjęły, jako sekretarkę, a później w Państwowym Zarządzie Wodnym i z tego Państwowego Zarządu Wodnego zostałam przeniesiona służbowo do Wrocławia. No i we Wrocławiu pracowałam kilka lat znowu w Państwowym Zarządzie Wodnym, a później mnie wyrzucili z tego Państwowego Zarządu Wodnego, bo powiedzieli, że nie podałam w ankiecie personalnej, że ojciec jest za granicą, bo już tego, że byłam aresztowana, to wiedzieli, o tym wiedzieli, bo to musiałam podawać, ale właśnie ten... No poza tym, przez dłuższy czas miałam kłopoty z UB, bo UB przychodziło, co jakiś czas do nas, jak kogoś nowego aresztowali, to przyjeżdżali i zaraz chcieli się dowiedzieć, czy my coś wiemy o tym człowieku. Były takie momenty, że ja wracałam z pracy, a sąsiadka leciała naprzeciw mnie i mówiła: *niech pani nie idzie do domu, bo tam UB na panią czeka*. No, ale gdzie ja mogłam iść? Musiałam do domu iść. No ale później, po 56 roku skończyła się ta cała historia.

R: A jeszcze, jeżeli chodzi o WiN, wynika z tego, że raczej pani cały czas kursowała w dalszym ciągu między Zabrzem...

KOK: Zabrzem i Brzegiem nad Odrą.

R: I w Zabrzu pani cały czas się kontaktowała z Szynalskim?

KOK: Z Szynalskim.

R: Czy z kimś jeszcze w Zabrzu?

KOK: Nie, tylko do Szynalskiego jeździłam, tak.

R: Tylko do Szynalskiego. Dobrze.

KOK: 21 października 1924 roku.

R: I imiona rodziców jeszcze bym prosił.

KOK: Alojzy i Józefa.

R: O właśnie, dziękuję bardzo.

KOK: Ja panu zrobię herbatę.

Rozmówca: A może kawę?

KOK: Co pan woli?

R: Bo zaczęło się od fabryki, no to chodziło nam też i o objęcie serca tego miasta powiatowego, ale że to były początki, to trzeba było być ostrożnym, tym bardziej, że jak miałeś praktykę z lat okupacyjnych...

R: Pan był w Armii Krajowej we Lwowie?

R: Słucham?

R: We Lwowie był pan w Armii Krajowej?

R: Tak, pobór trzeci. I byłem z praktyki lwowskiej, to wiadomo było, że niewiadomo jeszcze z kim człowiek mówi, a tutaj tym bardziej, że się zawiązywały nowe komórki, więc na razie to wszystko szło w jeden kierunek, no propaganda, propaganda, informacja, jakie wojska tam były, mniej więcej, jakie jednostki tych wojsk radzieckich, jakie ustosunkowanie do ludności, później jak się ludność do nich ustosunkowała, takie te wiadome sprawy, jak ktoś okupuje kraj. No i oprócz tego, że pracowałem w fabryce tych cukrów i czekolad, to tam werbowało się ludzi stamtąd, było na razie kilku ludzi, z których później chcieliśmy zrobić szerszy okręg już na miasto. Później wyszło na miasto, na wioski, tak żeby to była jakaś organizacja z prawdziwego zdarzenia. No i między innymi był jeszcze, któryś, nie pamiętam jego już nazwiska, on przyjeżdżał

[1B, 00:20:00]

z Krakowa, opowiada nam, jak wygląda sytuacja w Krakowie, jak PSL działa, bo tam specjalnie on o PSL dbał, jak działało PSL, jak było przeciwko, UB walczyło przeciwko PSL-owcom i tym innym ludziom, którzy popierali, specjalnie to było w okresie tego referendum '3 razy tak', więc tam było trochę tych aresztowań. No i przynosił wiadomości, że Kraków się trzyma, że tam Polacy jeszcze dobrze się sprawują, tym bardziej, że to stare miasto i jeden drugiego znał, to można było lepiej pracować, aniżeli tu, na terenach od klubu kupowane. I później już tam podczas aresztowania, mnie aresztowali w czasie śledztwa, to zarzucili mi, że miałem dokonać zamachu na sekretarza PPR-u i na pracownika Urzędu Bezpieczeństwa, tam nawet mi ten zarzut przedstawili w trakcie oskarżenia. No, ale to było... I popierał, w czasie śledztwa popierał go właśnie jeden z tych, podejrzewam, że on wsypał tą naszą całą grupę. No ale nie było żadnych konkretnych danych, dowodów nie było, tylko to był wypadek, że oni jechali samochodem, ten sekretarz PPR-u i pracownik UB jechali wozem z Wrocławia, z jakiejś narady, do Brzegu wracali i pod Brzegiem opona im nawaliła, samochód się zakręcił, tam w jakiś poślizg wpadł i zrobili z tego zamach na sekretarza PPR-u. Ale to nic takiego nie było, bo ani nie zamierzałem zrobić, tym bardziej, że organizacja była świeża, raczej zależało nam na razie na sprawach propagandowych, informacyjnych, żeby to okrzepło wszystko. Ja powtarzam, miało się już trochę praktykę z lat okupacyjnych...

R: Właśnie, jaka struktura to była, czy to był system trójkowy?

R: To było, trzymało się piątkowy, ale to już piątkowy system akowski, ale to nie dało rady się utrzymać na razie...

R: Ile osób mogło być tak mniej więcej zaangażowanych w to? Oprócz tych, którzy...

R: Pięciu byli, ci dalej tam znali jeszcze kilkoro, także UB się bardzo cieszyło, że trafiło na jakąś ogromną organizację podziemną. I na razie nie można było rozbudowywać tego w szerszy krąg, jeżeli chodzi o sprawy jakieś tam militarne, czy inne jakieś, sabotażowe, dywersyjne, bo się nie znało, kompletnie ludzi się nie znało i jeszcze nie wiedziało, co, kto, także... O tym akcie oskarżenia, on był przymuszany do takiego zeznania, że mnie koniecznie chcieli wkopać na karę śmierci, no ale przy wejściu na salę, to akuratnie tak jakoś nas wprowadzali, to ja mu tylko powiedziałem: *sluchaj, jak ty potwierdzisz to, że... te kłamstwa, że ci kazali mówić i potwierdzisz tutaj, w obecności sądu, to ty stąd żywy nie wychodzisz*. No i on zmienił, zmienił, zaraz sędzia chwycił tą jego uwagę, no a sędzia specjalnie nie nalaatywał podczas oskarżenia, tylko prokurator Landberg.

R: To był Polak?

R: On był oskarżyciel.

R: Polak z pochodzenia, Żyd, czy Rosjanin?

R: Tak, Żydek z tego, przyjechał z Rosji, nawet dobrze po polsku nie umiał mówić, wyrażać się, też się nie umiał wyrażać, w kółko jedno i to samo twierdził, że banda, że bandyci, że ustrój chcieli obalić, tę sprawę znamy. Także nawet mu sędzia zwrócił uwagę - *proszę się nie powtarzać w kółko jedno i to samo*, bo jak nas rano zaczęli sądzić, to gdzieś chyba do północy nas sądzili. Te akty oskarżenia, to specjalnie, bo jeszcze później chcieli wyciągać naprzód - *co jeszcze było, kto jeszcze był, a coście zamierzali w przyszłości robić*, takie tam stare sprawy.

R: A kto był... Pan podlegał bezpośrednio Szynalskiemu, tak?

R: Tak, w grupie Zabrze.

R: W grupie Zabrze, którą kierował Szynalski, tak? A kto jeszcze w Zabrze, oprócz Szynalskiego? Znał pan kogoś oprócz Szynalskiego w Zabrze?

R: Nie, Żmudów wtedy nie znałem.

R: Aha, Żmudów pan wtedy nie znał, tak?

R: Żmudów dopiero poznałem... Ale tak przerzucany był.

[1B, 00:25:00]

Jeżeli chodzi tutaj o UB, to tam na powiecie, to siedziałem sam, ze szczurami tylko, w piwnicy ze szczurami. A później... To było w Brzegu. A później, jak już adwokat nas wywindował, żeby rodzina się starała, żeby przenieść nas do Wrocławia. Ja myślałem, że

może to lżej będzie, a to nie, taki sam tyfus. Tośmy wpadli do tego prostokątu, na te tutaj na UB na Podwalu, tam mury z zewnątrz, to są biura, ładnie wyglądają, a w środku jest taka studnia i w tej studni są pomieszczenia aresztu. I od razu, jak nas tam tylko przywieźli, znaczy mnie to samego wieźli, ja sam jechałem ciężarowym wozem i ten śledczy jechał z pistoletami, pamiętam to, z karabinami, cholera, żebym nie uciekł przypadkowo. No i wpakowali mnie, taką boczną bramą myśmy wjechali na 4 piętro i tam od razu z krzykiem – *do muru się obrócić, ręce do góry*, na krzyk wzięli, tak żeby psychicznie od razu złamać, że – *my was tu zgnoimy, my was tu wyniszczymy, wykończymy*, to już człowiek wszystko (nz). Tym bardziej, że do Brzegu przyjeżdżał oficer śledczy radziecki, po rosyjsku gadał. I jeszcze pamiętam, jak on z pistoletem, mi do karku przyłożył i mówił: *kto jeszcze, czy wy znacie jeszcze oficerów innych?* i tak dalej. No to ja mu powiedziałem: *sluchajcie, jak wy byli, wyście na pewno byli też w organizacji podziemnej komunistycznej w 17 roku, to więcej was się nie znało, jak 4 ludzi, no i to samo tutaj, taka sama konspiracja była, jak wy mieli tam*. A w celi, to w celi różni siedzieli, jakiś baptysta siedział, jakiś Ewangelik, Volksdeutsch, zdaje się, jakiś siedział...

[00:00:00] Onychir_Kmiecik_Krystyna_AW_I_0350_2A

KOK: No to ojciec postarał się, żebyśmy pojechali z Tarnopola do Krasnosielec, to było 7 kilometrów za Zbarażem, także właściwie zetknęłam się tylko tam na wsi. Ale oni tam specjalnie na tej wsi nic nie robili, bo to była wieś czysto ukraińska. Tam moja ciotka była nauczycielką na tej wsi. Natomiast później przyjechałam do Tarnopola z matką, jak już jako tako się uspokoiło, to ojciec mi mówił, że było okropnie w Tarnopolu, że jeździli konno, strzelali nie wiedzieć, dlaczego i po co, chociaż nikt do nich nie strzelał, to oni strzelali dookoła, mieli karabiny, jeździli konno, a mieli karabiny maszynówka i z palcem na cyngu, więc jak pan podskoczył, gdzieś tam, coś się odwrócił, no to tą cyngierę wystrzelił, jak wystrzelił, to jemu się zaraz wydawało, że ktoś do niego strzela i dawaj, po wszystkich oknach i drzwiach, gdzie się tylko dało. Także ludzie siedzieli, wszystkie ludzie chowali, gdzie tylko mogli, żeby tylko broń Boże nie napatoczyć się, nie nadejść na nich, nie spotkać się, nie zetknąć się z nimi. W każdym razie, u nas oprócz Żydów i Ukraińców, nikt ich nie witał, wszyscy schowali się, jak tylko mogli. Z tymże tak, jak wszędzie, to co się mówi, że jak później się trochę uspokoiło, zaczęło się z nimi rozmawiać, z tymi wojskami, z tymi czerwonoarmiejcami, no to ludzie zaczęli się wyśmiewać z nich, bo pytali się, czy macie pomarańcze, to oni: *tak, tak, mamy, mamy. Fabryke dzielajut, zawody dzielajut*. Także to są wzory, które wszyscy zawsze opowiadają, bo to pletli. Zaczęli wszystko od nas wywozić, wszystko, co się tylko dało. Ja mieszkalam przy ulicy, która prowadziła na Podwołoczysko, to

jest do granicy polsko-sowieckiej 39 roku, no i tam właśnie obserwowałam te wszystkie samochody ciężarowe, wyładowane czym się dało. To nie były samochody kryte, tylko odkryte i na przykład bele materiału, pięknego materiału leżały tak rzucane na te wory i dość, nie dość oni tak wywozili, po prostu nawet nie umieli uszanować tego, co rabowali. To było swołocz, o czym to gadać, to byli ludzie, którzy o niczym nic nie wiedzieli. Proszę pana, a później zetknęłam się, znaczy tak, ojciec nas zaraz w pierwszych dniach wyprowadził na drugą stronę Tarnopola dosłownie. Nie wiem, co mu strzeliło wtedy do głowy, ale wyprowadził nas zaraz z tego rejonu i okazało się, że bardzo dobrze zrobił, bo gdyby tego nie zrobił, to byliby nas wywieźli do Związku Radzieckiego. A w ten sposób przychodzili po nas na stare mieszkanie, ale nikt z sąsiadów nie powiedział, że gdzie my jesteśmy, wobec tego odczepili się od nas. A później, jak przyszedł okres, kiedy wydawali paszporty dla wszystkich obywateli tamtejszych, to wtedy mamie poradzili, żeby matka poszła do tego NKWD i powiedziała, że ojciec ją porzucił z 2 dziećmi, że on był zły dla niej przez cały czas. No i ona tak zrobiła, przedstawiła 2 świadków, taty kolegów w pracy i oni takie opowiadali bzdury na ten temat, że myśleli, że

[2A, 00:05:00]

on tak słuchał, słuchał, słuchał, mówi tak: *czy to żona miłowata czy to on takoj swołocz*. I wydali ten paszport normalny i to nas jakoś tak ochroniło. Bo o co jeszcze chodziło? Że ojciec pracował w województwie, jako księgowy i stamtąd został skierowany, jeszcze przed wojną, przed 39 rokiem został skierowany do przedsiębiorstwa Podole, które budowało specjalne umocnienie przeciwko Związkowi Radzieckiemu, to znaczy przeciwko najazdowi wojsk radzieckich. To był cały szereg tam na wschodniej granicy, tam było dużo wody, dużo zalewów, więc chodziło o to, żeby te tamy zbudować, w razie czego, to zalać ten cały teren, żeby im utrudnić wkroczenie. I te roboty nie były jeszcze wykończone i w 39 roku, jak oni wkroczyli, dowiedzieli się o tych robotach, czy może wiedzieli, przecież to na pewno działała wtedy jakaś, jakiś wywiad z ich strony też na pewno działał, dosyć, że złapali tego inżyniera, który prowadził te roboty i ten inżynier zgodził się, podpisał, że będzie współpracował z nimi. Z kolei oni chcieli sobie te umocnienia w dalszym ciągu budować przeciwko Niemcom, czy ja wiem Niemcom, w każdym razie na tym terenie chcieli te umocnienia kończyć. No i ten podał, że z nim współpracował ojciec, jako księgowy. Oni przyszli po ojca, aresztowali go, no i zażądali, żeby ojciec z nimi razem pracował. Nawiasem mówiąc, ojciec był zarazem oficerem rezerwy, to też dla nich było podejrzane i niedobre. No męczyli ojca tam przez całą dobę, wreszcie ojciec wrócił strasznie wykończony, podpisał im, że będzie tam z nimi współpracował, ale wrócił do domu tylko po to, że wziął rzeczy i uciekł. I oni później szukali

cały czas ojca, nieraz wystawywali pod naszym domem. W międzyczasie tam u nas umarł jeden chłopak z nami mieszkający, wywozili trumnę, to oni za tą trumną, aż na cmentarz szli, myśleli, że my ojca wywozimy w tej trumnie widocznie. A ojciec w tym czasie już był aresztowany i siedział w Brygidkach we Lwowie.

R: To znaczy, nie udało mu się uciec, tak?

KOK: Nie, nie udało mu się, złapali go na granicy. No i właśnie za usiłowanie przekroczenia granicy, zamknęli go i zawieźli do Lwowa, bo oni właśnie do Lwowa wozili wszystkich, którzy usiłują przekroczyć granicę. Więc siedział w Brygidkach i myśmy tam do niego w ogóle nie jeździli, tylko jeździła ciotka, mamy siostra, która mieszkała we Lwowie i ona tam podawała mu paczki i starała się mu tam pomóc w tym więzieniu. W lutym, w 40 roku jechał transport ze Lwowa, transport więźniów i ja nie wiem, co... Stałam wtedy, bo myśmy mieszkali przy torze kolejowym, stałam na podwórzu i w pewnym momencie zdawało mi się, że ktoś kiwa do nas z okienka takiego tego zakratowanego z tych jadących wagonów. No i wtedy narobiłam krzyku, że to tatusia wywożę i rzeczywiście. Później ciotka dała nam znać, że już nie przyjęli paczki dla niego, że go wywieźli do Rosji. Wywieźli go do Starobielska, a ze Starobielska, tam się spotkał jeszcze z naszym kuzynem, który też był aresztowany we Lwowie, więc ze Starobielska wywieźli go na Kołymę. I na Kołymie siedział bardzo krótko, bo właściwie...

R: Nie wie pani, w jakim obozie?

KOK: Tego już nie wiem, tylko wiem tyle, że... No właśnie teraz tak sobie pomyślałam, że dlaczego właściwie, jak ojciec już był tutaj, to myśmy nigdy o tym nie rozmawiali, wie pan,

[2A, 00:10:00]

jakoś tak, on przyjechał z Anglii i się obawiał tutaj w ogóle cokolwiek mówić i chyba dlatego tak nigdy na ten temat się nie rozmawiało. Coś niecoś wiem tylko dlatego, że jak byłam u niego, w Anglii jeszcze, jak mieszkał, to tak właściwie bez jego wiedzy przeczytałam jego pamiętnik, który on tam pisał. Ale później on, wracając z matką tutaj do Polski, zniszczył ten pamiętnik, także niestety nie...

R: A ojciec, jeżeli można, jego godność, ponieważ to by było potrzebne do...

KOK: Onychir Alojzy. Więc cały czas właściwie przesiedział w Starobielsku, to już było po wymordowaniu polskich oficerów i on tam, oni w dalszym ciągu ten obóz prowadzili, tylko z innymi więźniami. A później wzięli go i wywieźli na Kołymę. Mówi, że to była potworna droga przez, tym statkiem, jak ich wieźli, nie wypuszczali ich za potrzebą, tylko w takich ogromnych ładowniach, które były przeznaczone właściwie na towar, to tam ładowali tych

wszystkich więźniów i wieźli na tą Kołymę. W momencie, gdy wyładowywali ich na brzeg, wtedy usłyszeli komunikat przez radio, że Polska, czyli że tam musiał być 41 rok, już po czerwcu, że Polska zawarła układ ze Związkiem Radzieckim i że jest amnestia dla Polaków. Ale pomimo tego, że usłyszał to, to jeszcze go tam kilka miesięcy trzymali, w tym obozie pracy i jeżeli nie wyrabiał normy, to zmniejszali jedzenie, więc musiał tą normę wyrobić. Woził taczkami takie bagno z jakiegoś tam strumyka, do takiej taśmy, na której to się przepłukiwało i wydobywało złoto z tego. Więc właśnie wyczytałam w tym jego pamiętniku, że jeszcze pół roku po opuszczeniu tej Kołymy, po opuszczeniu tej Kołymy jeszcze pół roku on budził się stale z uczuciem, że ma ręce zaciśnięte mocno na rękojeści taczek, bo musi tą normę wyrobić, więc jakie było napięcie jego przez okres ten, kiedy on tam pracował. No dosyć, że się dostał później do tego wojska Andersa. Więc dostał się do Anglii z wojskiem Andersa, przyjechał do tego punktu zbornego, to nie bardzo go tam chcieli przyjąć, bo trzeba było się zweryfikować, no ale na całe szczęście spotkał kolegów, też oficerów, którzy poświadczyli, bo przecież dokumentów żadnych nie miał...

R: A jaki miał stopień tata?

KOK: Porucznikiem był. No i wyjechał z wojskiem Andersa, później był w Anglii. Ponieważ był już w starszym wieku, więc na front go nie wzięli, tylko uczył kierowców, w jakiejś tam jednostce uczył, bo przecież to wszystko trzeba było mechanicznie prowadzić i on był w takiej jednostce szkoleniowej. No to tyle by było o ojcu. Dowiedzieliśmy się o ojcu dopiero, już po ogłoszeniu, czyli 43 rok, jak ogłaszali te spisy katyńskie, to myśmy jeszcze czytali wtedy ze strachem, czy tam nie znajdziemy nazwiska, jak Niemcy ogłaszali. Ale przyszedł list od znajomego, od sąsiada, który siedział w niemieckim obozie, nawet mam tutaj taki list, który pisała

[2A, 00:15:00]

pani, jego siostra napisała do niego, ona była też wywieziona do Związku Radzieckiego i tam później w Anglii, po wyjeździe z wojskiem Andersa zetknęła się z ojcem w Anglii. No ponieważ sąsiad, to nawiązali ze sobą ten kontakt i ona napisała do swego brata, do obozu niemieckiego, a ten z kolei pisząc te parę słów, które miał prawo napisać z jenieckiego obozu do rodziny w Polsce, napisał, że ojciec Kryski i Leszka jest w Anglii. I to była właśnie taka pierwsza wiadomość, później zaczęły przychodzić jakieś takie troszkę paczuszki tam wtedy, jakieś tam rodzynki, tala, czy coś takiego, to co można było przez Czerwony Krzyż przesłać. No to było to. W 44, no nie, później, w tym okresie ja już tam pracowałam w AK...

R: A może, żeby skończyć po prostu ten wątek pani ojca, w którym roku powrócił do kraju, jeżeli można wiedzieć?

KOK: Ojciec...

R: Bo powrócił do kraju, prawda?

KOK: Tak, tak, wrócił do kraju, zaraz panu powiem, mniej więcej, który to był, 15 lat już jest teraz, córka była w 7 klasie szkoły podstawowej, czyli miała 15 lat, w jakimś 75 roku.

R: W 75, tak?

KOK: Tak, wrócił, no bo wtedy tak się rozłożyła trochę sprawa, oni tam sprzedali, bo matka pojechała za Gomułki jeszcze, bo początkowo ojciec starał się matkę zabrać do siebie, ale nie mógł, bo odmawiali po prostu zezwolenia na wyjazd. Dopiero, jak się tak rozluźniło w tym okresie 56-7 rok, przy nastaniu rządów Gomułki, wtedy jeszcze raz napisaliśmy o to zezwolenie i wtedy mamie się udało wyjechać. Później były znowu trudności, bo chciałam wyjechać do nich, to nie mogłam, dopiero przez wielką protekcję, przez znajomego męża, który miał tam znowu znajomości, bo był aktywnie działający w UB, pozwolili mnie pojechać odwiedzić. To już wtedy córka miała 3 lata, jak pierwszy raz pojechałam.

R: W 75 wrócił, ale nie żyje już, tak?

KOK: Nie, nie żyje, zmarł tutaj jakieś 3 lata po, 72 chyba, czy 3, tfu, 78, gdzieś tak.

R: 78. Dobrze i teraz wrócimy do tego wątku w Tarnopolu już.

KOK: Tarnopol. Więc...

R: (nz) urzędnik, kiedy państwo po prostu przekonywali o tym paszporcie.

KOK: Aha, o to panu chodzi. Więc wtedy no mniej więcej dali spokój, wie pan, bo wtedy był wydawany tak zwany paragraf 11, kto dostał na paszporcie ten paragraf 11, to albo był przeznaczony na wywózkę, albo musiał opuścić Tarnopol i mieszkać gdzieś na wsi, nawiasem mówiąc, ze wsi też mógł być wywieziony, bo też wywozili. Z kolei na wsi było bardzo niebezpiecznie mieszkać, bo tam grasowali banderowcy ukraińscy, więc też nie było dobrze. Ale nam dali normalnie paszport i mamie, i później mnie dali, bo jak skończyłam akurat 16 lat, a od 16 roku trzeba było, brat jeszcze nie musiał mieć. No i chodziliśmy do szkoły oboje, matka sprzedawała, co się dało, żeby wyżyć, zresztą pracowała u ogrodnika, to tam parę rubli zarabiała. Żeby jakąś żywność dostać, to trzeba było stać w kolejce przez całą noc nieraz, z tymże sprzedawały nasze ekspedientki, więc one tam

[2A, 00:20:00]

nie patrzyły się bardzo, to myśmy tak robili, że staliśmy jeden za drugim w jednym miejscu, a później tam ileś osób za nami i znowu tam zajmowaliśmy kolejkę i tak ta kolejka rotacyjnie szła. Także za taką noc można było później rano kupić kilka kilogramów cukru, dajmy na to, wprawdzie ten cukier był żółty, taki jak dawniej się karmiło pszczoły, ale był cukier, no było co jeść. No tak jakoś szło, tym bardziej jeszcze, że jak mówiłam przedtem, mieliśmy ciotkę na

wsii, która tam była nauczycielką, przy tym, że była nauczycielką, to miała trochę gospodarki, więc zawsze na jesień podrzuciła nam trochę, czy zboża, które się miało później na żarno, czy ziemniaków i w ten sposób nas ratowała, także trochę jakoś to się udało. Pamiętam, że na przykład worek rąbanego drzewa kosztował 30 rubli, to była strasznie duża kwota, także ja w domu ucząc się przy stole, poodmrażałam sobie nogi i to fatalnie sobie poodmrażałam, bo było zimno. Paliło się tylko tyle, żeby zgotować obiad i koniec, i się wygaszało, a mrozy były wtedy po 40 stopni. Także był okres, kiedy nie chodziło się do szkoły, bo szkoła zamknięta w tym czasie. Szkoła, w szkole, nie powiem, żeby było specjalnie źle, byli nasi nauczyciele przede wszystkim.

R: A pani chodziła do 10-latki sowieckiej?

KOK: Do 10-latki sowieckiej. Było nam się trudno przyzwyczaić, bo naprzód chodziłam do Państwowego Gimnazjum Żeńskiego, tak było przed wojną, żeńskie i męskie osobno, a tu nagle połączyli nas i trzeba było się przyzwyczaić, że to chłopak jest koło mnie, no ale to bardzo prędko skolegowaliśmy się i jakoś szło. Nauczycielki, profesorki były te same, które prowadziły nas w gimnazjum państwowym, czy żeńskim, czy tak samo znowu z męskiego poprzychodzili ci sami profesorowie. Tylko był dodatkowy język ukraiński, język rosyjski, historia rosyjska, którą prowadził nauczyciel, który przyjechał ze Związku Radzieckiego i to podobno był Polak, zresztą, jak się dowiedziałam później, był tutaj teraz, już po wojnie, był na Górnym Śląsku, uczył gdzieś tam w jakiejś szkole, jako nauczyciel, więc rzeczywiście musiał być Polakiem, zresztą nie wiem, ale przedstawiał się, jako Polak. No mówił fatalnie po polsku, także myśmy już tak się naśmiewali z niego, że wie pan, dosłownie, jak on dyktował nam w takim fatalnym języku tą historię, to myśmy tak notowali identycznie i później identycznie uczyliśmy się na pamięć i jemu tak identycznie odpowiadaliśmy. I on się nie łapał na tym, że my z niego kpimy, i że cała klasa, tylko te pierwsze rzędy siedzą spokojnie, a reszta ryczy pod ławkami. No ale, poza tym, wie pan, no złapał mnie na przykład któregoś dnia, że ja mam medalik na piersi i wysunął mi się tak za bluzkę, to inny mógłby zrobić jakąś awanturę, a on tylko wziął i mówi: *no Onychnir, to trzeba schować, bo to propaganda religijna*, więc tylko tyle miałam z jego strony uwag. Jak przychodziło 1 maja, to nas przez miesiąc ćwiczyli, jak mamy krzyczeć, jak będzie ta defilada. 10-latka, to dużo uczniów było, po kilka oddziałów w każdej klasie, do 1 do 10, czyli maluchy i dorosłe dzieci. I proszę pana, myśmy uczyli się przez cały miesiąc, jak przyszła ta defilada i któryś tam się wychylił i krzyknął: *Hajże (nz)*, to wie pan co, nikt nie krzyknął, tylko jedna Żydówka, na taką olbrzymią kolumnę nikt nie krzyknął. Ja sobie pomyślałam, jeżeli nie krzyczą, to co ja mam się wysilać, widocznie tak samo no myślał każdy.

[2A, 00:25:00]

I tylko jedna Żydówka krzyknęła, to jeszcze było gorzej, niż gdyby nikt nie krzyknął, bo można by było powiedzieć, żeśmy nie usłyszeli, a ona krzyknęła. Zapędzili nas do szkoły, zamknęli bramy od podwórza i dopiero tam sobie ulżą na nas: *wy synowie polskich oficerów, ja was wszystkich pozamykam, wy tu nie będziecie propagandy robić* i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, jak oni zresztą zawsze wrzeszczeli do nas. Któregoś dnia przyszedłam do szkoły, to 10 klasa, ze wszystkich uczniów, to zostało 5 chłopaków, wyaresztowali wszystkich i ślad po nich zaginął, nie wiemy, co się z nimi stało.

R: A jakoś na podstawie tego...

KOK: Mówili, że jakaś organizacja była, a ja wtedy nie byłam w nic wmieszana, to nie wiem.

R: Nie wie pani, jak ona się nazywała?

KOK: Nie wiem, tylko mówili, że była jakaś organizacja i że tych chłopców aresztowali. W następnym roku, bo to 2 lata chodziłam do tej szkoły, w następnym roku, proszę pana, miałam chłopaka, który miał kłopoty, bo zamknęli go i przymusili go, żeby im donosił, co się dzieje w szkole, czyli po prostu, żeby był konfidentem. On się zgodził, wyszedł i przyszedł do naszej nauczycielki, naszej opiekunki klasy i powiedział jej, jak sytuacja się przedstawia i ona jemu zawsze, on musiał się raz na miesiąc zgłaszać, więc ona zawsze jemu dyktowała, co on ma mówić, żeby nikomu nie zaszkodzić. No i tak jakoś mu się to ciągnęło, ciągnęło, ale już w 41 roku, przed wkroczeniem Niemców, on wtedy mówił do mnie, mówi: *wiesz, jak mnie jeszcze raz wezmą, to chyba już się nie wyłgam*. No ale całe szczęście, przyszli Niemcy. Wtedy było szczęście dla nas, a później się zaczęły inne znowu problemy, ale to go uratowało wtedy. No i to Niemcy przyszli w 41 w czerwcu, a gdzieś w jesieni zgłosiła się do mnie właśnie ta nauczycielka, pani Małachowska i zaproponowała mi, że ponieważ byłam harcerką, więc może zdecyduję się być kurierką w AK, bo nie było gadania, że się zgodziłam, przywarła do mnie przysięgę i skierowała mnie do pana Żeglina, Ordona i byłam jego kurierką przez cały czas. Przeważnie byłam w Tarnopolu, ale czasami zdarzało się, że wysyłali mnie gdzieś tam na Toruń, czy do Trembowli, czy do Lwowa, to zależy, jak sytuacja się przedstawiała, znowu z innymi (nz), jak gdzieś któraś zachorowała, a trzeba było, to mnie wysłali. No w tym okresie, to tam różnie pracowałam, jako pokojówka w takim hotelu oficerskim, jako później pracownica umysłowa, nie, jeszcze przed tym byłam przy wykupie tytoniu, wtedy była bardzo ciężka praca, ale zabezpieczała właśnie przed wywozem do Niemiec. I później znowu przeszłam do Spółdzielni Kółko Rolnicze, to było coś takiego i pracowałam w biurze. Ale któregoś dnia narażłam się swojemu kierownikowi, bo nie znając

jego córki wypędziłam ją, nie pozwoliłam jej pod jego nieobecność wejść do jego gabinetu, więc on się obraził i mnie wyrzucił, wyrzucił mnie do pracy w sklepie. I znowu miałam szczęście w nieszczęściu, bo za kilka dni, jak ja już nie pracowałam w tym biurze, przyszli do tego biura i wyaresztowali Niemcy wszystkich, którzy tam byli, a ja byłabym na pewno ich los

[2A, 00:30:00]

podzieliła, ze względu na to, że ja byłam zawsze z jakąś pocztą, a jak nie z pocztą, to uczyłam się tajnie, na kursach tajnego nauczania i zawsze jakieś książki miałam ze sobą, żeby się przygotować na te lekcje. Więc to mnie uratowało, że mnie tam nie było. No to tyle by było z takich spraw...

R: No i później się zaczęła akcja „Burza”, czy...?

KOK: A później, nie, proszę pana, przyszli, wkroczyli, znaczy zaatakowali Tarnopol ci bolszewicy i w pierwszym dniu, w pierwszych dniach, jeszcze jak oni się zbliżali, Niemcy wyrzucili nas z naszego mieszkania, wyrzucili nas do takiego jakiegoś opuszczonego mieszkania przez jakiegoś tam Ukraińca, dosłownie na drugiej stronie Tarnopola, z tej strony oni atakowali, a ja z tej strony siedziałam. I pan sobie wyobraża, że wojska radzieckie popędziły tych Niemców przez cały Tarnopol, w tym pierwszym dniu uderzenia, popędziły przez cały Tarnopol, aż do tych drugich przedmieść. Ja już widziałam, jak Niemcy uciekali, ze strachem się patrzyli do tyłu i uciekali. Na następny dzień znalazłam trupy na sąsiedniej ulicy, trupy czołgistów radzieckich, którzy wyskoczyli z czołgu, który się tam zapalił...

[00:00:00] Onychir_Kmiecik_Krystyna_AW_I_0350_2B

KOK: Mogli zdobyć ten Tarnopol w ciągu jednego dnia, raczej nawet w jedną noc, ale niestety Niemcy zostawili w Monopolu, który był na tych pierwszych przedmieściach wódkę, więc te wojska radzieckie, jak się rzuciły na tą wódkę, to się opily tak w sztok, że nie mogli atakować. I ja się patrzę, ale ci wracają, wracają i później Tarnopol zdobywali przez 6 tygodni. Nas w 4 tygodniu chyba spalili, ten dom, bo wkroczyli już sowievi, bo jak otoczyli Tarnopol dookoła, w środku się bronili Niemcy, a tutaj ten, więc wkroczyli do naszej piwnicy, gdzie myśmy siedzieli, no i krzyczą do nas: *wy spasajcie się, my minu podkładamy*. No podkładali miny, głupie pytanie, gdzie uciekać w ciągu nocy, jak wszędzie strzelają, tośmy siedzieli w tej piwnicy, ale rzeczywiście oni tą minę pod ten dom podłożyli, bo na górze Niemcy byli. No i wtedy część piwnicy się zawaliła, mój narzeczoną, który koło mnie siedział, zginął, ale ten podmuch wywalił kraty w oknach, tu w piwnicznych, więc myśmy przez te okna uciekli. No i jeszcze pod drodze kilka osób zostało zastrzelonych, no nie specjalnie zastrzelonych, tylko w czasie tej strzelaniny, która się tam odbywała na tym

froncie, bo to był front. No i wtedy myśmy parę dni jeszcze przesiedzieli już poza frontem, ale na linii frontu właściwie, przesiedzieliśmy u jakichś tam ludzi. No i któregoś dnia zdecydowaliśmy jednak, że nie ma co, tylko trzeba uciekać i wtedy poszliśmy znowu do tej ciotki mojej, za Zbaraż do Krasnosielec. To był kwiecień, mróz tajał już, ale śnieg jeszcze leżał przy drodze. Moja mama wyszła na wysokich obcasach i po 7 kilometrach już nie mogła dalej iść, więc zmieniliśmy się obuwem, z kolei ja nie mogłam iść za daleko na tych obcasach. Skończyło się na tym, że na bosaka doszłam do ciotki, ale nawet kataru nie dostałam. No i później stamtąd wyjechałam do Lwowa i we Lwowie poznałam męża. ...do nauki, z tymże później dostałam, mam świadectwo z tego egzaminu. Zresztą to było nadzwyczajne przeżycie, wie pan, jak człowiek zdawał przed komisją składającą się naturalnie z profesorów polskich, no i tutaj dookoła sowieci, a oni mi mówią w pewnym momencie, po naradzie wzywają nas do tego i - Państwowa *Komisja Egzaminacyjna uznała was za dojrzałych*. Naturalnie świadectwa nie wydali, bo nie mogli wydać wtedy, wydali dopiero, jak przyjechałam na Zachód i wtedy siostra moja cioteczna skontaktowała się ze mną i wiedziała, gdzie w Przemyślu w kuratorium były wszystkie dokumenty. Z tymże daty wycofali, nie 45 rok, jak zdawałam, tylko 44, ze względu na stosunki panujące tu w Polsce nie można się było przyznać do tego, że ja jeszcze we Lwowie zdawałam wtedy, kiedy był już Związek Radziecki we Lwowie.

R: Czy utrzymywała pani jakieś kontakty z AK i z Ordonem chociażby, czy z kimś?

KOK: Nie. Ja wtedy z Ordonem nie miałam w ogóle żadnego kontaktu, dopiero... Zresztą u mojej ciotki, tam, gdzie mieszkalam, mieszkał pułkownik Studziński, który był komendantem tarnopolskim, ogólnym.

[2B, 00:05:00]

I właśnie stamtąd został aresztowany i wywieziony do Rosji, zresztą wtedy została wywieziona cała komenda AK, bo w momencie wkroczenia do Lwowa, wszyscy akowcy się ujawnili, chodzili z opaskami, a ci sobie notowali. I później któregoś dnia kazali się zgłosić do siebie na konferencję i skończyła się ta konferencja tym... To już pan wie. I wywieźli ich. Także wtedy, jeśli chodzi o AK, to nie było, nic się tam nie działo w tym okresie. W tym okresie tylko się myślało o tym, jak by wydostać się z repatriacją do tego... Ponieważ nie miałam dokumentów i tak, jak mówiłam, mąż dopiero mi załatwiał na lewo wszystko, bo jak się ze wsi przyjeżdżało, to się na wsi nie miało wydanych paszportów, tych sowieckich paszportów, a tylko na podstawie sowieckiego paszportu można było się zarejestrować. Więc mąż przez to, że zgłosił, wtedy jeszcze, jako narzeczony, zgłosił, że przyjechaliśmy ze wsi, ja i matka, i wtedy dostałyśmy poświadczenie, takie zaświadczenie z NKWD, że zgłosiliśmy się, ale

mąż zgłosił o 11 wieczorem, ten kazał się zgłosić rano, to myśmy już tam nie poszli rano. Zarejestrowali nas, a później z kolei brat przysłał mi zaświadczenie, żeby pomogli rodzinie wojskowego, brat był w wojsku...

R: Transportem wojskowym.

KOK: Tak. I transportem wojskowym, który właściwie składał się z samych Żydów. Przyjechaliśmy tutaj do Bytomia.

R: To miesiąc tego pani pamięta?

KOK: Proszę?

R: Jaki to był miesiąc?

KOK: Listopad 45 rok. Miałam koleżankę w Bytomiu, to miałam jej adres, oni nas przyjęli, chociaż w tym swoim mieszkaniu byli już tak obładowani, że całe mieszkanie było załadowane tłumokami, chodziło się po tych tłumokach, spało się na tych tłumokach, bo kto tylko przyjeżdżał, to oni przyjmowali ich, tacy uczynni ludzie byli. No mąż zaraz zapisał się do chóru jakiegoś tam i 40 mężczyzn z tego chóru zaczęło szukać mieszkania, znaleźli nam w Zabrze mieszkanie, no i w tym Zabrzu myśmy zaraz ślub wzięli. No później mąż dostał się do pracy do Brzegu.

R: Czy w Bytomiu i Zabrzu państwo spotykali się z byłymi członkami AK?

KOK: Nie, z nikim się wtedy nie zetknęłam, z nikim. Zetknęłam się tylko ze swoją siostrą cioteczną, która mnie uprzedzała – *Krystyna pamiętaj, żebyś się nie zaplątała w jakąś robotę*. Nawiasem mówiąc, ona już była zaplątana wtedy. Ale ponieważ ja byłam najmłodsza z rodziny, takiej najbliższej rodziny, ja byłam najmłodsza, więc usiłowała widocznie mnie chronić, nie chciał. No ale jak już mieszkaliśmy w Brzegu, zgłosił się do nas pan Zygfryd Szynalski.

R: To było w 46, czy 5? 46.

KOK: W 46, gdzieś marzec chyba. Zgłosił się, no i wtedy z mężem zdecydowaliśmy się do współpracy z nim.

R: Czy mówił, na czym miałyby polegać ta współpraca?

KOK: Jeśli o mnie chodzi, to przede wszystkim na wywożeniu dalej korespondencji, bo on wiedział, że ja jestem kurierka, więc jeździłam kilka razy...

R: I pani była bezpośrednią kurierką pana Szynalskiego?

KOK: Pana Szynalskiego, tak. Jeździłam do Zabrze do niego i przywoziłam te gazetki do Brzegu.

R: Tylko do Brzegu, czy jeszcze gdzieś?

KOK: Nie, tylko do Brzegu, a stąd już, nie wiem, mąż już tam gdzieś komuś dawał. No i 17 września 46 roku w nocy, załomotali do drzwi, przyszli aresztować nas, przyszli chyba z całą kompanią, nie wiem, było ich masa. Wyciągnęli nas z łóżek, zaczęli robić rewizję, stwierdzili, że

[2B, 00:10:00]

nie ma co szukać, bo jest wszystko popalone, tak jak mówiłam panu, to były zupełnie w piecu, po prostu próbowaliśmy piec, ale oni stwierdzili, że popalone, że nie ma co szukać. Ja mówię, wie pan co – *co znaczy szukać? Gdzie logika? Jakbym spaliła cokolwiek ważnego, to bym wszystko wam wygarnęła, żeby nikt nie mógł tego znaleźć.*

R: To byli sowietci, czy UB?

KOK: To było UB, które, Rosjanie byli w tym UB, bo w każdym razie... A jak nie, to Polacy z Rosji, no już nie wiem, bo mówię, w pewnym momencie właśnie, jak powiedziałam *logika*, to on mówił: *wot logika, logika?* Na to moja mama na głos, nie krępując się, mówi: *Kryśka, to Rosjanin!* A ja mówię: *a ty myślałaś, że kto?* On jakoś zmitygował, nic nie powiedział, kazali nam się ubrać, wyprowadzili nas do samochodu, zawieźli nas na UB. Po drodze...

R: Na UB w Brzegu?

KOK: W Brzegu. Tam trzymali nas chyba ze 2 tygodnie, chyba ze 2 tygodnie trzymali nas na tym UB i tam właśnie przeszłam te wszystkie badania. W pewnym momencie wprowadzili mnie na przesłuchanie, ja się patrzę, a tam chyba 7, 8, może 10 ich siedziało, no i zaczęli do mnie wykrzykiwać po rosyjsku najgorszymi słowami, jakie tylko znałam i oni znali, grozili mi, wrzeszczeli, nawet mi nie dali do słowa dojść, tylko oni wrzeszczeli cały czas. W pewnym momencie jakiś się z nich odzywa, mówi: *może pani nie rozumie? Może pani przetłumaczyć?* Ja mówię: *nie musi się pan wysilać, ja bardzo dobrze rozumiem.* Jak wyszłam z tego przesłuchania, musiałam dobrze wyglądać, bo ten żołnierz, który mnie przyprowadził, popatrzył się na mnie i mówi: *niech pani trochę odpocznie.* Postałam chwilę, mówię: *nie, już lepiej, chodźmy stąd,* no i z powrotem do tej piwnicy. Wywieźli nas później na UB, tutaj do Wrocławia, okazało się, że pozwozili nas z całego Dolnego Śląska, różne grupy.

R: A czy, jeszcze wróć do Brzegu, czy oni pytali o konkretne jakieś nazwiska w czasie przesłuchania na przykład?

KOK: No tak, pytali się o Szynalskiego...

R: A Szynalskiego już znali, już wiedzieli, tak?

KOK: Tak, już znali jego nazwisko, więc ja cały czas twierdziłam, że nic nie wiem. Dopiero, jak oni mi już przedłożyli takie konkretne zarzuty, jakie mnie przedstawili, niestety, ale pana,

który był z nami związany i on mi powiedział w oczy: *tak, byłem u nich i to wszystko...* i tak dalej, i tak dalej, to wszystko, co oni zarzucali on mi powiedział, mężczyzna...

R: A nazwisko mogłaby pani podać?

KOK: Jak on się nazywał, ten nasz, który to...

R: Kto? Komendant UB?

KOK: Nie, nie. Ten, który z nami współpracował i ten...

R: Kliś.

KOK: Kliś, tak? Kliś.

R: Ten, który sypał, tak?

KOK: No, który sypnął. I on w oczy powiedział wszystko, co oni chcieli, żebym ja zeznała, więc ja już się trzymałam później tylko tego, co on powiedział.

R: A co on powiedział?

KOK: No, że przychodził do nas, że brał od nas gazetki, że współpracował z mężem, ze mną, no nic poza tym, bo nic więcej, no nic strasznego się nie działo. Wprawdzie oni później to mężowi usiłowali zarzucić usiłowanie zabójstwa sekretarza PPR-u, ale nic takiego nie było. No to już mąż będzie na ten temat mówił, nie wiem zresztą, jak. I jak wywieźli nas na UB, znaczy tutaj wrocławskie, zaczęło się od nowa śledztwo.

R: Tutaj na Muzealnej, tak?

KOK: Na Muzealnej, do tego czworoboku.

R: Na Łąkowej.

R: No, Łąkowa-Muzealna, tak.

KOK: Tak, Łąkowa-Muzealna.

R: Tam był sąd.

KOK: I tam był niedaleko, to nie był tam sąd, sąd był przez ulicę, w drugim takim budynku. To nas zaprowadzili później na ten sąd wojskowy.

R: I było tam, na tym

[2B, 00:15:00]

przesłuchaniu to samo w zasadzie?

KOK: W zasadzie to samo od początku, najważniejsze to życiorysy w kółko Macieju i właściwie nie ciekawego, no tylko to samo, to samo, to samo. Ale trzeba przyznać, że pod koniec ten pan śledczy...

R: Nazwiska pani nie pamięta?

KOK: Nie. Tu mam tylko jakieś, ale to nie jest z tego, nie pamiętam nazwiska. Mam wrażenie, że chyba gdzieś tam moje akta leżą w tym sądzie wojskowym, to musi być

zaznaczone, kto tam... Nie pamiętam. Dosyć, że ten śledczy zaproponował mi, że on zezwoli zobaczyć się z mężem. Nawiasem mówiąc, nie wiedział, że ja kilkakrotnie z mężem rozmawiałam, dzięki strażnikom, którzy byli, tam pilnowali nas. To byli Francuzi, Polacy z Francji, którzy początkowo uważali akowców za bandytów, a później myśmy ich dokładnie uświadomili, co to było AK i oni chodzili po więzieniu i śpiewali akowskie piosenki, w ogóle zaczęli się inaczej zupełnie do nas odnosić. No i oni często w nocy otwierali mi celę i pozwalali mi podskoczyć, znaczy ja siedziałam na 1 piętrze, pozwalali podskoczyć pod celę męża na 3 piętro i porozmawiać z mężem. To myśmy wtedy sobie uzgadniali, co on zeznawał, co ja zeznawałam. To było ważne, bo to trzeba było, żeby te zeznania grały. No więc ten pan pozwolił mi zobaczyć się z moim mężem, udawaliśmy, że się nie widzieliśmy, naturalnie, nic nie rozmawialiśmy. No było parę minut takie spotkanie w jego obecności. No i tam właśnie zetknęłam się z panią Żeglin, żoną Żeglina, ale ona później wyszła, nie była z nami sądzona. No i sądzili nas, nie z całą grupą tą ściągniętą z tego Dolnego Śląska, tylko tych, którzy z Brzegu przyjechali, zostali przywiezieni, to tych osobno, a ta grupa miała osobno salę.

R: A z Brzegu pamięta pani nazwiska jakieś, to znaczy tych...?

KOK: Nie, ja nikogo nie znałam, oprócz tego jednego Klisia.

R: Tego Klisia, tak? Tego konfidenta, co...

KOK: Który właściwie nas sypnął później, nie wiem, może oni przez kogoś innego do niego trafili i wymusili na nim te zeznania, czy co, to nie wiem. W każdym razie, w Brzegu byłam świadkiem, jak kogoś bili.

R: Mnycha.

KOK: Mnycha, o właśnie, Mnycha. To go tak strasznie bili, że ja zatkałam uszy, wlałam pod jakiś ten koc, który miałam, żeby nie słyszeć, co się tam działo w sąsiedniej celi. To właśnie tak, tak, to tego Mnycha. No i co jeszcze? No i tyle, zasądziła nas, mnie na 3 lata, męża na 7 lat, ale chyba tylko dlatego też jeszcze, że mój ojciec przysłał list do tego sędziego wojskowego, który okazał się jego kolegą, znajomym jego. I matka poszła z tym listem do tego sędziego, no i trochę tam przedstawiła sprawę, także on złagodził ten wyrok, bo wyroki mogły być większe, a chodziło nam o to, że wiedzieliśmy już, że będzie amnestia i żebyśmy podlegali tej amnestii, więc ja z amnestii wyszłam, a mąż pół kary musiał odsiedzieć, nie darowali mu.

R: A jak wyglądała rozprawa? To znaczy była tajna, czy nie?

KOK: Nie, rodzice mogli być, znaczy rodzina mogła być. Był brat mój, była matka, obecni, no i rodzina tamtych wszystkich.

R: I państwo mieli adwokata na przykład?

KOK: Mieliśmy, ale to adwokat uśmiechnął się...

R: Z urzędu, tak?

KOK: Nie, nie z urzędu.

R: (nz)

KOK: To był

[2B, 00:20:00]

porządny człowiek, ale...

R: (nz)

KOK: No po prostu wiedział, że jego wysiłek idzie na marne, bo to nic nie było do ugrania, do bronięcia, tyle, że się nazywało, że jest adwokat, ale to przez matkę był zapłacony.

R: Rozprawa ile trwała? Jak długo, tak mniej więcej?

KOK: Ile ona trwała? Popołudnie całe, jakoś tak.

R: Co?

R: To jeden dzień?

KOK: Rozprawa.

R: Trwała od rana do 11 w nocy.

R: Ale tylko jeden dzień?

KOK: Ale tylko jeden dzień. Przyprowadzili nas na tą rozprawę już z więzienia z Kleczkowskiej.

R: A to panią na Kleczkowską przewieźli, tak?

KOK: Tak, po UB, po zakończeniu śledztwa zawieźli nas na Kleczkowską i stamtąd przewieźli nas do tego. No z tego wszystkiego, to się dorobiłam gruźlicy, chorowałam później 5 lat. No i nie wiem, jak bym była wylądowała z tą gruźlicą, gdyby nie to, że mój brat cioteczny, który został właśnie z tą armią Andersa uratowany z Rosji, był w Ameryce i on mi przysłał lekarstwo – mydrazide to się nazywało, no i to lekarstwo, jak zażyłam, to za miesiąc, po zażyciu 100 pastylek zlikwidowało mi, szramy zostały, dobrze wysycony i zagojony. Ale ta gruźlica właśnie przez 5 lat mi też łupnia dała. No i to by było wszystko, co...

R: A później, po rozprawie pani jeszcze jakiś okres siedziała w więzieniu, tak?

KOK: Tak, tak. Siedziałam jeszcze do marca.

R: I gdzie? Tutaj na Kleczkowskiej?

KOK: Na Kleczkowskiej cały czas siedziałam. No miałam tego pecha, że wyszłam ostatnia.

R: A w celi, jeżeli można, czy...?

KOK: W celi siedziały tylko polityczne z nami.

R: Tylko polityczne. Nazwisk pani nie pamięta?

KOK: No siedziała ta Żmud Helena ze mną. Zresztą to tak się szczęśliwie złożyło, że ona była ze mną w tej celi, w tym...

R: Ją też zwinął, tak?

KOK: Też, też zwinął, tak. Ona była w celi na UB i później dali nas też razem do celi tutaj. Trochę nieprzyjemne było przejście przez tą tak zwaną przejściówkę, bo to była taka fala olbrzymia, do której spędzili wszystkich tych i dali nam czystą pościel, ale jak się rozłożyło tą pościel na tej, co mieliśmy spać, to ona się zrobiła od razu czarna od pcheł, było tak strasznie dużo pcheł, już później ja całą noc przechodziłam, bo nie było możliwości nawet usiąść. No później dostaliśmy się na te cele, to tam na 2 osoby były 2 łóżka, tośmy spały na waleta, po 4 ładowali, do takiej ciasnej klitki po 4 osoby. No nie mogę powiedzieć, żeby specjalnie źle się z nami tam obchodzili ci strażnicy, jakoś ja nie miałam specjalnie takich przejść.

R: Czy po celach krążyły jakieś wiadomości, na przykład o wyrokach śmierci, o wykonywaniu wyroków śmierci, coś takiego?

KOK: Proszę pana, wyroki śmierci, to się zetknęłam dopiero później, jak wyszłam z więzienia i chodziłam tam, co miesiąc pod więzienie, na widzenie z mężem, to wtedy tam całe rodziny, tabuny rodzin przychodziły. I wtedy właśnie zetknęłam się z kobietą, która urodziła dziecko we więzieniu i ona, i jej mąż byli przedtem aresztowani, on został skazany na karę śmierci i któregoś dnia zetknęłam się, właśnie z nią zetknęłam się i ona czekała na widzenie z mężem i powiedzieli jej: *niestety, proszę panią, ale już mąż został dzisiaj w nocy rozstrzelany*. No, co się działo, to nie chcę mówić, dosyć, że ja jej wtedy, z nią wtedy poszłam na cmentarz, bo powiedzieli, że na Osobowicach został pochowany, poszliśmy i ona odnalazła

[2B, 00:25:00]

tam miejsce, w którym jego zakopali. No ale ja później już z tą panią się nie stykałam, bo ona już nie przychodziła na...

R: Nie pamięta pani nazwiska?

KOK: Nie, już ja wtedy, tak jak pan Szynalski, nie miałam jakoś pomysłu, żeby pospisywać, a w tej chwili, to już nie pamiętam tych nazwisk.

R: A w celi, jeżeli chodzi o taki skład tych politycznych, siedzieli członkowie WiN-u i jeszcze na przykład NSZ-etę?

KOK: Nie, nie, to byli WiN-owcy, wszystko WiN-owcy, ci, którzy ze mną siedzieli, te 4 osoby.

R: I one były z Dolnego Śląska?

KOK: I z Dolnego Śląska przeważnie, tak, tylko... Nie, nie tylko, bo ta Żmud Helena była przywieziona z Zabrza i dołączona do naszej sprawy.

R: Dołączona do sprawy państwa, tak?

KOK: Tak. Z tymże nie była z nami sądzona, ale...

R: Ale była wcześniej aresztowana, czy...?

KOK: W tym samym mniej więcej czasie. No i tak, jak panu mówię, siedziała ze mną na UB, zetknęliśmy się ze sobą, bo jej nie znałam, zetknęliśmy się ze sobą na UB we Wrocławiu. No co jeszcze takiego? No z tymże później przyjeżdżali kilkakrotnie do mnie, już tu, jak mieszkałam we Wrocławiu, to przyjeżdżali kilkakrotnie na przesłuchania z powrotem, kogoś tam aresztowali, gdzieś tam kogoś złapali, chcieli wiedzieć, czy ja coś wiem na ten temat. Zwykle to były bardzo nieprzyjemne powroty z pracy, bo sąsiedzi biegli naprzeciw mnie, żeby mnie uprzedzić, że – *tam UB na panią czeka*.

R: Nie pamięta pani nazwisk, o jakie pytali wtedy?

KOK: Nie, nie. Zresztą to były dla mnie nieznane nazwiska, także...

R: Nieznane, tak?

KOK: Nieznane, nie, nie. Nie były znane dla mnie, ale oni widocznie uważali, że z tego okresu, to ja mam wszystkich znać. Boże drogi, ale żebym знаła, to i tak by nic z tego nie było, ale nie, nie znałam nikogo, nie miałam kłopotu, jeśli o to chodzi.

R: A jeżeli chodzi, po wyjściu z więzienia, o sprawy związane z pracą?

KOK: No to miałam kłopoty, bo zawsze musiałam pisać w ankiecie, że byłam karana, a jak napisałam, że karana, to zaraz i awansu nie dostawałam, no i... W pewnym momencie mogłam się dostać na studia, bo mi zaproponowali nawet, bo w tym okresie było mało ludzi, którzy mieli skończoną średnią szkołę. Więc przyszedł taki pan do mnie z personalnego i powiedział, mówi, że ma skierowania do Katowic na studia politechniczne, czy ja bym poszła, czy bym się zdecydowała. Powiedziałam jemu: *niech pan zaglądnie naprzód do moich akt personalnych, a później będziemy ze sobą rozmawiać* i już nie wrócił do mnie. No do pracy nawet w jednym momencie, to tydzień pracowałam w PSS-ach i wyrzucili mnie za tydzień, bo jak zaglądnęli dobrze do tego, a jeszcze po opinię do poprzedniego miejsca pracy, skąd zostałam wyrzucona. Zostałam wyrzucona nie dlatego, że siedziałam, bo oni wiedzieli o tym i przez 5 lat tam pracowałam, i było dobrze, tylko zostałam wyrzucona dlatego, że mój ojciec był za granicą. To była też ciemna sprawa dla ówczesnych władz i nie byłam pożądanym pracownikiem. Później wyrzucili mnie stamtąd, przez pół roku to tak się tułałam, to tu, to tu, gdzie tak zlecone prace brałam, a później mąż mi załatwił pracę w Spółdzielni Buczka przy ulicy Odrzańskiej, to była budowlana spółdzielnia. Prezesem był Żyd Zinber i

ten Żyd w momencie, gdy weszła personalna i powiedziała, pokazała mu moje akta i pokazuje, że byłam aresztowana, a on mówi na to: *a co to panią obchodzi? Ja pani każę ją przyjąć.*

[2B, 00:30:00]

No i ten Żyd właśnie spowodował, że już taki jakiś przełom nastąpił, przynajmniej, że mogłam pracować. Pracowałam tam, później byłam, trochę miałam przerwy, bo przy rodzeniu dziecka zostałam, jak pan widzi, mam porażenie nerwów twarzy, więc jakiś czas siedziałam w domu. A później poszłam do pracy do Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, no i tam pracowałam już 20 parę lat, bez przerwy.

R: Później już raczej, po 56 roku jakieś tam...

KOK: Nie, nie, nie, to już... Zresztą nikt nawet nie usiłował do mnie przychodzić i mnie cokolwiek proponować.

R: To znaczy chodzi o UB przede wszystkim?

KOK: A nie, to wtedy, to już się uspokoiło, w tym okresie już się uspokoiło. Już właśnie, tak, ma pan rację, że to był gdzieś już po 56 roku, to już nie przychodzili, nie pytali, już nie zaczepiali mnie. No później, po 10 latach od daty skazania, wystąpiłam o wykreślenie z rejestru karanych, no i wykreślili mnie, przysłali mi taki akt. Koniec.

R: Dziękuję bardzo.